

# Liberalna kolonizacja religii – z zewnątrz i z wewnątrz

*Tomasz Rowiński*

Często mówimy o sekularyzacji społeczeństwa, a także sekularyzacji samej religii, a chyba jeszcze częściej o jej upolitycznieniu. W Polsce w zasadzie zawsze trafia to w formie oskarżenia skierowanego bezpośrednio w Kościół katolicki.

Oba te zjawiska zwykle opisujemy za pomocą prostych socjologicznych konstatacji – choćby takich, że księża rzucają sutanny (dosłownie lub metaforycznie) czy nie przykładają się do odprawiania Mszy, a świeccy na te Msze nie chodzą i nie rozpoznają świętości w znakach sakramentalnych. Nazywamy to sekularyzacją. Kiedy jakiś hierarcha pojawi się w towarzystwie polityka – czy to będzie prezydent Polski, czy wójt gdzieś w Polsce – wtedy mówimy o „polityzacji religii”. Dużo rzadziej wspomina się o tym, że to polityka potrafi skutecznie wikłać religię w swoje sprawy i robi to dość często jako strona silniejsza oraz zdolna do bezpośredniej reakcji władzy w tej relacji. Jeszcze rzadziej mówi się o potrzebnej relacji pomiędzy Kościołem i państwem, w której to religia nadaje państwu duchową formę – charakter, rys.

Takie ujęcie „polityzacji” ma swoje praktyczne konsekwencje – stawia społeczeństwo przed wyborem pozytywnie wartościowanej władzy silnie dzierżącej przymus, ale słabej poprzez podległość partykularnym doktrynom lub tej opisywanej negatywnie jako antyliberalna, ale szukającej sprawiedliwości dla każdego żyjącego. Pokusa poddania się „partykularnym doktrynom”, za które lubi się przebierać liberalizm (ale którymi bywają też rozmaite inne nowoczesne „izmy”), a szerzej polityka nowożytna, jest duża, ponieważ prezentuje ona samą siebie jako jedyne lekarstwo na niebezpieczeństwo autorytarne czy totalitarne. Nie ma przecież bardziej skrajnego partykularyzmu politycznego niż totalitaryzm, który zawsze działa w interesie jakiejś mniejszości. W najbardziej

radikalnej i możliwej do pomyślenia wersji działa zaś – koniec końców, prędzej czy później – przeciwko wszystkim ludziom, ponieważ dla ideologii człowiek jest tylko środkiem. Dobrze oddaje ten stan polityki nowoczesnej powiedzenie o rewolucji zjadającej własne dzieci. Ale przecież i ojców, i braci, i żony, i synów. Każdego w swoim czasie.

Te zaś przekonania dotyczące religii i liberalizmu wynikają z upowszechnienia się w mentalności Zachodu pewnego jednowymiarowego paradygmatu nauk społecznych, w którym religia jest zwykle przedstawiana jako irracjonalny żywioł zagrażający racjonalnemu państwu, a to, co partykularne, jest lepsze niż całościowe. Te zestawienia praktycznie działają jak matryca – nie ma w nich żadnej dynamiki poza podporządkowaniem religii państwu, a w sprawach publicznych – całości partykularyzmowi i indywidualizmowi. Gra na partykularyzm nie oznacza oczywiście gry na korzyść religii, która jako żywioł irracjonalny powinna być utożsamiana z partykularnością. W rzeczywistości bowiem powyżej przedstawione waloryzowanie religii jest w znacznej mierze zwykłą deprecjacją paradygmatu konkurencyjnego. Gra na partykularyzm jest grą na wzmocnienie bezpośredniej władzy tych, którzy nią akurat dysponują – jednostek, instytucji, struktur wzmacniających prestiż jej uczestników i w ten sposób korzystających z ich inteligencji dla własnego rozrostu i dominacji. Jest to właśnie gra na osłabienie – rozdrobnienie języków własnych, którymi dysponują choćby religie, a w szczególny sposób dysponuje Kościół, pozostający w trwałym sojuszu z racjonalnością i będący trwałym reprezentantem nadprzyrodzoności. Rozdrobnienie języków, tradycji, czyli *par excellence* paradygmatów rozumności, narzędzi dostępu do rzeczywistości – także nadprzyrodzonej – jest sposobem realizacji starej zasady „rządz i dziel”, ale też zrzuceniem formy kłępującej despocję. Partykularyzm ostatecznie działa także jednak przeciwko tym, którzy go wspierają we własnym, jak im się zdaje, interesie. Po pierwsze, według prostego opisu sytuacji despoci mogą stać samotnie wobec wszystkich, których uciemieżyli, jeśli tylko ci uzyskają, co nieco ironicznie możemy powtórzyć za starym Marksem, świadomość klasową. Po drugie jednak, słabnące społeczeństwo osłabia tych, którzy dążą do uzyskania nagiej władzy, owego nieograniczonego *potestas*. Mroczna

i naga władza przymusu pozostawia wokół siebie społeczną pustkę i destrukuje ludzki sens polityki. Osłabienie rozumności sprawia, że stają się oni coraz bardziej niewolnikami procesu administracyjnego, a nie inspiratorami polityki. Tę właśnie sytuację nazwałbym sytuacją totalizacji, kiedy zanika zarówno wolność osób, jak i odpowiedzialność rządzących, a ludzie (po kolei różne aspekty) stają się przeszkodą w pełnej realizacji „projektu nowoczesnego” jako wcielanej mechanizacji – już nie władzy w sensie rozbuchanej woli, ale automatyzmu administracyjnego przymusu. Proces ten współbrzmi z nadziejami ideologów liberalizmu – takich choćby jak John Rawls – by wykluczyć działania polityczne na rzecz „teorii sprawiedliwości”, która jest rodzajem totalnego właśnie zorganizowania świata dla jego dobra.

Wracając jednak do „sekularyzacji” i „polityzacji” religii, trzeba zauważyć, że w samym Kościele nie zauważa się sekularyzacji i polityzacji w sytuacji, kiedy sprawy mające swoje źródło w Objawieniu lub je reprezentujące w doczesności traktuje się jako stanowiska polityczne. Najboleśniej z tej perspektywy przykładem polityzacji i sekularyzacji było rozbitcie wewnątrz Kościoła, jakiego dokonano w związku z przykrawaniem nowych szat dla „źródła i szczytu” życia chrześcijańskiego, czyli liturgii. Sposób implementacji reformy liturgicznej, ale być może już sam sposób jej przygotowania, a później administracyjne sposoby jej wprowadzania stały się czynnikami sekularyzacyjnymi. Najważniejszy element reprezentacji nadprzyrodzoności stał się elementem politycznej rozgrywki, a przedstawiciele różnych opcji w tej grze, której poddano samo serce Kościoła, stali się jedynie stronnikami frakcji. Analogiczną sytuację dostrzegamy i dziś w czasie kościelnej dyskusji toczącej się przy okazji dwóch Synodów o rodzinie. Kardynał Walter Kasper, oskarżający obrońców prawowierności o politykowanie, za które uznał wydanie książki rzetelnie broniącej niezmiennego nauczania Kościoła na temat małżeństwa i Komunii świętej, sam doprowadził do sytuacji, w której głos prefekta Kongregacji Nauki Wiary jest tylko głosem pewnej opcji politycznej. To, co dla wielu stanowi „uprawnioną w Kościele dyskusję”, jest obserwowanym z wewnątrz procesem dekompozycji racjonalności (i nadprzyrodzoności) znajdujących się w opozycji do liberalizmu (czy szerzej – nowoczesności). Zatem

nowoczesność stawia tamę tam, gdzie obca racjonalność mogłaby wnikać w jego struktury (służy temu paradygmat irracjonalności religii oraz separacji polityki i religii, rozumu i nadprzyrodzoności), ale równocześnie postuluje polityzację, sekularyzację i pluralizację wewnątrz ciał społecznych swoich konkurentów, których w tym kontekście wcale nie rozpoznaje jako irracjonalnych, ale jako wrogich. Polityzacja jest jednak tylko środkiem do wzięcia w „zarząd administracyjny” kolejnych obszarów ludzkiej aktywności – jeśli chodzi o religię, działanie tego mechanizmu dobrze widać w przypadku różnych urzędów „kościelnych” w krajach europejskich, którymi zarządzają świeccy ministrowie. Funkcjonowanie takich organizmów, choćby w świecie protestanckim, nie powoduje praktycznie żadnej reakcji liberałów, a przecież łamią one wszystkie egzoteryczne zasady paradygmatu „nowej nauki o społeczeństwie”. ■